

Śliwkowy citroen (Mam słabość do śliwkowych citroenów, bo właśnie taki był naszym pierwszym samochodem, popularnie zwanym „żabą”) musiał wyruszyć z obozu niedługo po mnie, bo kilkakrotnie zauważyłam go w lusterku. Droga nam się wiała zakrętami, więc od czasu do czasu „żaba” wyskakiwała z wirażu, ale trzymała się ode mnie z daleka. Na dłuższych odcinkach prostej migał czasami za nią srebrzysty, chyba mercedes, ale głowy bym za markę nie dała. Poza nami, droga właściwie była pusta.

W takim porządku: mój nowy peugeot, kawałek dalej „żaba”, a jeszcze dalej chyba mercedes, przecinaliśmy kolejne wioski, położone wśród rozległych pól. Zwolniłam nieco i ze stówy na liczniku zesłam do siedemdziesięciu. O dziwo, śliwkowa „żaba” też zwolniła, a i mercedesowi również przestało się spieszyć. Zaczęliśmy się zachowywać jak turyści, podziwiający piękno przyrody, chociaż w zasadzie nie było za bardzo czego podziwiać. Pola jak pola. Zupełnie dla hecy przyspieszyłam, ciekawa, co zrobią kierowcy z tyłu. Zrobili to samo, co ja. Znow zwolniłam i oni także.

Co do licha? Poczułam lekki niepokój, ale i zaciekawienie ogromne. W tej samej chwili zauważyłam, że „żaba” znow przyspieszyła i dosłownie wisi mi na tyłku. Jakie wisi?! Nie wisi! Ten typ najnormalniej chce mnie staranować! Poczułam lekkie uderzenie w zderzak, głowę mi na zagłówek odrzuciło i zaraz siła bezwzględna pociągnęła mnie do przodu. Pasy mnie przytrzymały, więc nie stuknęłam w kierownicę, odruchowo wcisnęłam gaz i pogałam do przodu.

„Żaba” znow zaczęła się zbliżać, ale zauważyłam, że mercedes próbuje ją wyprzedzić. Nie tylko zresztą wyprzedzić. Prawym bokiem uderzył w śliwkową „żabę”, zamierzając zepchnąć ją z drogi.

O, mamusiu! – jęknęłam, nie spuszczać jednego oka z lusterka wstecznego, bo drugim obserwowałam szosę przed sobą. Zeza rozbieżnego będę miała do końca życia, ale nie pozostawało mi nic innego, jak sytuację nadzwyczajną obserwować uważnie.

Za mną działo się coś niesamowitego, bo Citroën, jako maszyna mająca solidną wagę, zepchnąć się nie pozwolił. Zachybotał się tylko i do równowagi powrócił, a jego kierowca w tym swoim słomkowym kapeluszu nie tylko zachowywał stoicki spokój, ale przeszedł do kontrataku. Powoli uchylił okno i... wystawił rękę zaopatrzoną w pistolet.

I strzelił! Przednia szyba Mercedes'a zarysowała się tysiącami rozbłysków i zmatowiała. Sam Mercedes jakimś sposobem ani nie zwolnił, ani nie zjechał na pobocze. Wysunęła się z niego potężna armata czy też inny kałasznikow i splunęła serią po śliwkowej „żaby”. Właściciel „żaby” i słomkowego kapelusza nie miał szans. Wyleciał z jezdni niczym wystrzelony z katapulty, dosłownie przefrunął nad rowem oddzielającym szosę od pola i z całą mocą swoich koni mechanicznych walnął w rosnące tam drzewo.

Zahamowałam automatycznie i zaczęłam się cofać. Mercedes, który jeszcze przed chwilą pędził przed siebie, teraz najspokojniej zawrócił i odjechał w siną dal. Nawet nie zdążyłam zauważyć jego numerów rejestracyjnych.

Zatrzymałam się na wprost wraka wbitego w pień. Kierowca leżał twarzą na kierownicy, ale klakson nie wydawał żadnego dźwięku. Chyba coś się pourywało w tej sprasowanej masie silnika, bo i poduszka powietrzna też się nie otworzyła. A może jej nie było?

Paraliż mi z wolna ustępował, choć trzęsło mnie wewnątrz i na zewnątrz także. Jeszcze przez kilka minut nie byłam w stanie wysiąść z auta i zobaczyć, czy facet jest tylko bardzo ranny, czy już całkowity z niego nieboszczyk. Przecież on chciał mnie zepchnąć z drogi, on chciał mnie wsadzić jeśli nie na to, to na jakieś inne drzewo.

Rozdygotana, niczym dobrze przyrządzona galareta ze świńskich nóżek, podeszłam do wraka. Bezapelacyjnie, kierowca nie miał prawa żyć. Przez całą długość auta biegła ścieżka dziur. Widoczny znak po serii z karabinu w Mercedesie. Lewa ręka kierowcy i jego pierś wyglądały jak krwawa jatka. Zrobiło mi się słabo i niedobrze.

* * *

To skrót fragmentu nowej książki Jadwigi Bryczkowskiej (autorki wydanego w roku ubiegłym, znakomitego *Sezamu tajemnic*), pod tytułem *Papieski manuskrypt*. Jej bohaterka, Alicja, wyszła oczywiście z tej opresji, jak i ze wszystkich innych, obronną ręką, ale co się najadła strachu, tego... nikt jej nie odbierze.

Bohaterka Jadwigi Bryczkowskiej, podobnie jak kiedyś bohaterki Joanny Chmielewskiej, ma bowiem wyjątkowy talent do wplątywania się w sytuacje nie tylko niecodzienne, ale i naprawdę niebezpieczne. Nie tylko to je zresztą łączy! Także poczucie humoru, optymizm w najtrudniejszych nawet sytuacjach, odwaga, życzliwość... No, po prostu – że są to sympatyczne i równe babki, których nie sposób nie polubić!